



WIADOMOŚCI LITERACKIE

T Y G O D N I K

Nr. 45 (731)

Warszawa, Niedziela 31 października 1937 r.

Rok XIV

MARJA DĄBROWSKA

WRZESIEŃ W ZALESZCZYKACH

1

Jechałam do Zaleszczyk ze sprzecznymi uczuciami nadziei, obawy i ciekawości, jak też tam jest naprawdę.

Geografia nazywa tę część Polski ciepłym Podolem, a same Zaleszczyki z ich najbliższą okolicą — ciepłym zakątkiem. Prospekty mówią o śródziemnomorskim klimacie i polecają Zaleszczyki jako miejscowość nadającą się do kuracji winogronowej.

Ludzie natomiast, którzy tam byli, wypowiadają się naogół w sposób dosyć umiarkowany. Czasem nawet krzywią się zlekka.

— Nic nadzwyczajnego, — mówią, — Dniestr, owszem, ładny, ale miasteczko brudne i brzydkie.

— Owoco? —
— Dosyć trudno je dostać.

— A winogrona? —
— Może... ale drobne i cierpkie.

Tu zaczynają się anegdoki o winogronach przywożonych z Rumunii, ktoś powiedział mi nawet, że dla zwiedzających przywiązuje się je sznureczkami do krzaków.

— Aha, więc są przynajmniej winnice? —
— Podobno.

— Klimat? —
— Owszem, ciepło, ale kurz.

Same więc zastrzeżenia.

Wynaję, że skłonna byłam wierzyć raczej tym sceptycznym relacjom niż prospektom.

Tymczasem, o dziwo, rzeczywistość potwierdziła prospekty, z tą różnicą, że okazała się sto razy bogatsza, ciekawsza i powabniejsza niż zdawkowe zwroty uzdrowskiej reklamy. Zaleszczyki oczarowały mnie prostrą, i co mam o nich do powiedzenia, to będzie krótka historia entuzjazmu, radości i miłości. Także i trosk, nieuchronnie z każdą miłością związanych.

Najpierw tedy pośpieszne przez okno wagonu chłonięcie okiem tego kraju. Od Chodorowa mniej więcej zmienia się pomalutku charakter upraw i kultur rolnych, a właściwy Małopolskie typ struktury gospodarstw nabiera jaskrawszego wyrazu. Lasy prawie znikają. Stare wsie schodzą w głąb jarów, nowsze sadyby, na powierzchni płaskowyzu wznoszone, zagęszczają się mocno. Szachownica pszczy pola coraz drobniejsza, wręcz fantastyczną kratką, łany dworskie, naodwrot, co raz to rozleglejsze, zgodnie z tem co pisał o tych stronach jeszcze Pol, że „miałeś dziesięć dworskim łanem”. Dworskie też tylko pola są dobre, a przynajmniej nieźle pod wszystkim przyrządzone. I na nich też jedynie widać to, co kazało Polowi napisać o Podolu: „Jak zasięgnie ludzkie oko i daleko i szeroko, świat klasami tylko płynie”.

Kłosami wprawdzie świat już nie płynie, bo to początek września, lecz ogromne przestrzenie zoranych pól świecą mnóstwem świeżych pszenicznych stert, a z łanami, czekającymi na oziminę, mijają się jedynie pola soczyste zielonych buraków.

Zato chłopskie półka bynajmniej o lecie „kłosami płynącym” nie mówią, a kłopskie zdrapanie plugiem zagłębki po zbożach ledwo gdzieniegdzie zauważają się dają, zgubione między zboża innymi uprawami. Strzępiaste konopie wicherzą się wszędzie najobficiej, tu zielone jeszcze, dojrzewają na sienie, ówdzie czernieją ścięte i pozbierane w stoki. Naprzemian z zagórkami konopi bieli się, rumieni albo rdzewieje hreczka i płacze się po tykach fasuła. Nad wszystkim jednak już po wycięciu kaczanów — i słonecznik. Słoneczników pełno nie tylko w konopiach, w hreczce i w kukurydzy, nie tylko wszystkie półki i miedze rzędem ich obsadzono, ale raz po raz mijamy całe zagony wyłącznie słonecznikiem zasiane.

Niektóre z tych łanów słonecznikowych jeszcze kwitną, żółcąc się aż cmi w oczach, inne już dojrzały i gną się od ciężaru czarnych tarcz, nabitych tłustym ziarnem. Jak słonecznik, tak zresztą i kukurydza i konopie poza własnymi łanami rosną pojedynczo na wszystkich polach, jakby w nieładzie ponarzucano tu wszędzie każdej rzeczy potrochu, na los szczęścia, co gdzie lepiej się zdarzy. Czytanych kultur prawie się nie widzi, a zagonki chwiałowych buraków, kapusty, marchwi, maku, czynną te pola jeszcze bardziej podobne do chaotycznych ogrodów. Barwne to i kwieciste, ale wszystko razem — potargane i zaniedbane. Patrząc, przypominam sobie mimowolnie, że te gleby, w całym państwie polskim

najżyźniejsze, mają najniższe plony z hektara, schodzące niekiedy poniżej przeciętnej dla całej Polski. A lössy i czarnoziemni tutejsze tak są przepyszne, że człowiekowi wsi dość na nie spojrzeć by mu serce zadrżało od pocucia możliwości, co w tej ziemi się kryje. A kraj tak jest rolniczy, że nawet w miasteczkach znaczna część ludności z roli tylko żyje. A zaludniony tak jest gęsto, jakby nie rolniczą był okolica, lecz mocno przemysłową. W powiecie zaleszczyckim liczba ludności na km² dosięga niemal cyfr Śląska Cieszyńskiego, w całym zaś województwie tarnopolskim przeciętna gęstość zaludnienia jest nieco większa niż przeciętna w województwach zachodnich. Ale nie tylko ziemia jest świetna i ludzi na niej gęsto, tak gęsto że aż im bieda. Pod względem ilości naturalnych i sztucznych stawów rybnych województwo tarnopolskie zajmuje jedno z pierwszych miejsc wśród wszystkich województw Polski, pod względem ilości pasiek i uli pszczelnych — miejsce pierwsze. Lecz w handlu bynajmniej rybą ani miodem nie słynie, bo stan tych obu hodowli jest fatalny. Bóg i ziemia i słońce są jednakże w porządku — od nich ludzie dostali tu wszystkiego w hojnym nadmiarze. Człowiek jest nie w porządku, nie zrobił akuratnie co do niego należy. Kto z tych, co tym światem rządzą, najwięcej zawinił — nie miejsce w krótkim szkicu osadzać. Wiele tu jest i długo jeszcze będzie do odrobienia. Czy może być jednak uczciwsze zadanie niż złe odrabiać i na dobre zamieniać? Toteż każdy wysiłek w tym kierunku podjęty — a takie są — cieszy wprost niewymownie.

Pod jednym względem człowiek tutejszy zrobił wszystko co do niego należało i nawet więcej niż z koniecznych potrzeb życia wypada: — pod względem piękności artystycznej przedmiotów, którymi się otacza. To znaczy w tej dziedzinie, w której twórczość jego, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę jej skromny zakres, była niezależna od układu sił społecznych i politycznych. Narazie z okien wagonu widać to po chędogim uroku wiejskich sadyb. Chaty o dachach wysokich czterospadowych stoją pod strzechami nie tylko grubo, mocno i gładko sztytami, ale ślicznie na załomach w stopnie powycinanymi. Ściany czyste białe, okna dość duże, przybry oryginalnie podmalowane na niebiesko albo czerwono. Płoty naokoło siedzą starannie upiecione, a za płotami przy każdej chacie sad, rumiany od jabłek i gruszek, wszędzie też kwiaty się mienią.

Kawałek Rumunii, o który zahaczamy przed wjazdem do Zaleszczyk, nie różni się niczem od opisanej tu części naszego Podola. Chłop na polu tak samo, według słów Pola, „czysto, biało odziany” i tak samo cudnie zahatowany. Te same chaty z kolorowymi przyzbami, takie same pola-ogrody pełne kultur pomieszanych ze sobą. Bo też i ludność ta sama w pewnym procencie polska i rumuńska, ale naogół... lecz jakże określić jej narodowość, gdy za każdą nazwą ktoś będzie śmiertelnie obrażony. Powtórzmy tedy za ceną skądinąd monografią województwa tarnopolskiego, że to jest ludność typu antropologicznego mieszanego nordyczno-laponoidalno-prałowiańsko-alpejskiego z przymieszką subnordyczną. Dopiero tak się zabezpieczywszy, dodajmy chylikiem za temże wydawnictwem: „Rusini”, w nawiasie „Ukraincy”. Żart na stronę, wróćmy jeszcze do tej sprawy. Dla porządku stwierdzić trzeba, że jednak ten właśnie zakątek Podola gęściej niż inne ziemie dawnej Rusi zasiedlony jest Polakami, zarówno chłopami jak drobną szlachtą mazurską, i że procent ludności polskiej znacznie tu jest wyższy niż w wielu innych okolicach z ludnością mieszaną.

2

Gdy tak przyglądam się i rozmyślam, pociąg skręca, wchodzi na bardzo wysoki zaleszczycki most i nagle, zwolniwszy bieg, jakby zawisa nad istic rajskiem widowiskiem.

Jar Dniestru notowany jest oficjalnie jako jeden z najpiękniejszych jarów rzecznych w Polsce, więc dając ku niemu, niejedno można było sobie i wyśnić i wymarzyć. Ale w gruncie rzeczy marzenie jest zawsze uboższe i mniej pomysłowe od cudów rzeczywistości, toteż krajobraz, co rozwarł nam się tu stóp, wydał mi się ośniewający. Niespodziewana szerokość nurtu rzeki, rozległość doliny, monumentalność łupkowych skał, owianych błękitem i nasyconych słońcem, tchnęły potęgą i łaskawością roz-

promienionego majestatu. Same Zaleszczyki, z trzech stron pętlą Dniestru i wieńcem gór objęte, z czwartęj rozciągające się w beżmiar czystej równiny — skrzyły się bielą murów pałających, ciemniały tęgą zielenią morelowych sadów i jaśniały egzotycznym niebieskawym seledynem winnic, już zdaleka i zwysoka wabiących uradowane oko.



Winobranie w Zaleszczykach

Z takim to czarem współliniście stało się moim udziałem na przeciąg wielu dni. Wszystkie aż do dnia ostatniego ubiegły wśród najpiękniejszych letnich upałów, łagodzonych świeżością złocistych wieczorów i rosistych poranków.

Klimat oczywiście nie tyle śródziemnomorski ile czarnomorski, a raczej wogóle nie morski lecz wybitnie kontynentalny, z ogromem latem, rozciągającym się od kwietnia do listopada, i z równie potężną, ostrą i śnieżną zimą. Czy wrzesień jest najpiękniejszą porą tego lata — nie wiem. Że był tym razem cudowny — to napewno. Do końca można było plażować oraz kąpać się w Dniestrze, do końca ubierał się według słów poety: z „Wesela”. „Chodzę boszo z gołą głową, pod spód więcej nie nie wdziewam”... Do ostatka też ani jeden liść nie pożyłki na drzewach... prawda, pożyłki w głównej uliczce miasta kasztany, lecz wśród sznających puszczy zaraz nowe liście i obficie — choć anemicznie — zakwitły. A taki sam podobno bywa październik.

Barwą światła i cieniów, rozsiągniętych w błogiem powietrzu, przypominał mi ten wrzesień dnie spędzone o tej samej porze przed paru laty w Sorrento i Florencji. Także temperatura nie była chłodniejsza, a noce równie czarne i rzęście przejrzystości powietrza tak samo rzęście rozświetlone, tak samo też swierszczami dzwoniące.

Wielka pogoda zaleszczycka posiada nadto stałość godną szacunku i podziwu, a po chwilowych zaćmieniach przychodzi do równowagi odrzuć i stanowco, jak istota o mocnym, opanowanym charakterze, na której można polegać.

Osobliwość, właściwą jarom rzeczonym, są w Zaleszczykach niezwykle obfite mgły poranne. Pojawiają się ze znikaniem ostatnich gwiazd, i zalegają całą widomą przestrzeń, pogrążając świat w białej wełnistej ciszy. O wschodzie słońca złoty rakab skal wyskakuje z topieli tumanu niby korona dźwigającego się ze snu wielkoluda. Żenit przeziiera czerną naksztalt złudzenia błękitu, mgła zabarwia się zorszą i majaczącym krajobrazem, rumieni się i zieleni, a wkrótce pełźnie już tylko mleczna, podłużna chmurka nad samą wodą Dniestru.

Dniestr wbrew opinijom grymaśników nie jest wcale jedną piękną, ani nawet najpiękniejszą częścią Zaleszczyk, choć jest niewątpliwie twórcą wszystkich uroków miejscowości. Płytkie, niespławne jego wody od lössów ciągle z prądem niesionych są żółtawe i mętne, płyną też pocichu i flegmatycznie. Jest to wszelako cisza wody, co brzegi rwie i dobrze

rwąć je musi, skoro tak przepaścisty jar wśród wyżyny podolskiej wydrążyła.

Miasteczko znowu, naprzekór tymże grymaśnikom, nie jest wcale brzydką ani przykrą stroną pobytu w Zaleszczykach. Powabów jego nie zauważy jednak ten, kto żyje umownymi pojęciami o pięknie i nie potrafi odkrywać go na własną rękę. Miasteczko jest więc malownicze i

rozwoju winnic w Polsce, powiada, że jednym z pierwszych winiarzy był chłop ze Skawiatyna, który wróciwszy z niewoli włoskiej, założył według widziń tam wzorów małą handlową winnicę. Terenów stosownych pod winnicę jest jeszcze na „cieplem Podolu” mnóstwo, i możnaby mieć winogron co najmniej dziesięć razy tyle co jest obecnie, gdyby miejscową ludność nauczyć ich uprawy i znaleźć kredyt na potrzebne do tego celu inwestycje. Wielu winiarzy trudni się także wyrobem win, przemysł ten jednak nie może się rozwinąć spowodu wysokiego podatku, nałożonego na tę produkcję w związku z umowami planowego handlu kompensacyjnego.

Znaczna część winnic okolicznych, jak Lesieczniki, Torskie, Horoszowa, mają na ulicach Zaleszczyk własne kioski ze sprzedażą winogron. Poza tem w każdym sklepie spożywczym i u każdego ulicznego handlarza owoców można ich kupić doli po 70 i 80 groszy za kilo. W Zaleszczykach też dopiero wzbogaciłam swe doświadczenie życiowe zorjentowaniem się w smakach i gatunkach winogron. Gatunków białych, różowych i czarnych hoduje się tam kilkanaście od małych rodzynkowych do wielkich mięsistych, gorszych w smaku, ale najlepszych do przechowywania i transportu. Winogrona zaleszczyckie są przewyborne, nie tylko soczyste, aromatyczne i słodkie, ale naogół słodsze od zagranicznych, bo doszły do pełni dojrzałości na krzakach w łaskawem podolskim słońcu.

Także innych owoców jest wbród i w najprzedniejszych gatunkach. Gruszek napęczniałych od soku, jabłek topnistych jak śnieg i zwiastująca olbrzymich włoskich orzechów coniemniara zabezpiecz w porównaniu z cenami warszawskimi. Morel we wrześniu oczywiście nie było, melonów i kawonów także resztki tylko na targu można było dostać.

Ten targ zaleszczycki, to prawdziwa uczucia dla oczu. Różnobarwny od warzyw o takich rozmiarach, jakie widywaliśmy tylko w halach Dijon w Burgundji, purpurowy od pieprzu tureckiego, wiśniowy od kosów derenu, czerwony i żółty od pomidorów słodkich jak owoc desery. I białe od ludzi strojnych w kapełuszki wysokie jak cylindry, w hafty na pazuchach, kołnierzach i rękawach i wrzesie mimo gorącą — obyczaj widać tak chce — w kożuski i serdaki cudnej roboty. Czarne spodem, zwierzcnią skórę mają na biało wyprawione. Od pasa faldziste, w pasie i przy zapięciach dyskretne czarnym haftem zdobione, są to chyba najpiękniejsze kożuski baranie, jakie istnieją na świecie. Można je porównywać z przedziwnej piękności białymi skórami Indian Ameryki Północnej, są jednak w lepszym i wytworniejszym guście.

3

Sztuka ludowa ma też swoje manowce, kiedy wpada w manierę albo naśladownictwo. Stając jednak wobec jej uduchanych przejawów, obujemy z przechodzącą umysłowe pojęcie tajemnicą, z jednym z tego rodzaju cudów, jakie stwarza niekiedy natura. Że ludy słowiańskie im dalej na południe, tem hojniej udarowane są pod względem artystycznym, to rzecz powszechnie wiadoma. A jednak uprzedmiotowił o sobie z siłą i świadomością po raz pierwszy objawiając się prawdy, kiedy zobaczyłem na wystawie, urządzonej w Zaleszczykach z okazji święta winobrania, muzealną kolekcję haftów podolskich, zebraną przez panią Modzelewską z Koszyłowca.

Owe pazuchy, kołnierze, rękawy, mankiety, pasy i krajki bogactwem i jednocześnie prostotą ornamentu, harmonią i doskonałością wykonania, dyskrecją, doborem i stonowaniem barw przywołują myśl o pszczelim wosku, o skrzydłach motyli, gniazdach i piórkach ptasich, o cudzie kryształów śnieżnych, grze światła słonecznych i księżycowych, o migotaniu gwiazd i o przedziwnej budowie mikroskopijnych promieniowców. O całym wogóle mistrzostwie, z jakim przyroda wykonywała i zdoła swoje dzieło. I gdyby nie było na to innych danych, to już ta sama umiejętność ludowa czynienia bezwiednie, jak przyroda to czyni, i tworzenia na tej drodze przedmiotów doskonałej sztuki, świadczyłaby niezbicie, ile prawdy jest w zdaniu Conrada, że sztuka, to bliźnia więź, łącząca człowieka ze wszechstworzeniem.

Skoro mówię o podolskiej sztuce ludowej, trudno mi nie wrócić raz jeszcze do jej twórcy, samego ludu podolskiego.

go, którego samowiedza i aspiracje narodowe tak wielką, tak nieraz tragiczną rolę w życiu Polski dzisiejszej odgrywa. Którego samo nawet miano tyle gwałtownych namietności roznieca.

Przyjęło się w ostatnich czasach, że ludność ruska, polskimi granicami objętą, siebie samą nazywa Ukraincami i za obrazę swych uczuć narodowych uważa, kiedy się o nich mówi: — Rusini. Polacy więc o czulszem sumieniu, a zwłaszcza którzy pamiętają jak bolesne i niebezpieczne jest obrażanie uczuć narodowych, używają słów „Ukraincy” i „ukraiński”, choćby nie zgadzali się na wszystko co demagogia szowinistyczna pod te słowa podkłada. Inni, gruboskórniejsi lub niechętni mniejszościom narodowym, używają jedynie nazwy „Rusini”. I to podsyca żarzące się antagonizmy.

W gruncie rzeczy sprawa jest i bardziej prosta i znacznie bardziej zawiła. Prosta przez to, że ludowi temu przysługuje zupełnie tak samo słusznie nazwa ukraińskiego czy też ukraińskiej, jak nazwa rusińskiego albo ruskiego, i że ta dwoistość nie jest żadną osobliwością. Prawie każdy bowiem naród posiada kilka nazw i często sam siebie nazywa inaczej niż nazywają go inni (na co zwracał już uwagę prof. Baudouin de Courtenay i co zresztą każdy zauważyć może codziennie i bez trudu).

Zawiła zaś jest owa sprawa przez to, że obie nazwy posiadają znaczenie historyczne zupełnie inne, a nawet odwrotnie temu, jakie „mi dziś aktualne” wględy i namietności polityczne nadały.

Nazwa „Ukraincy”, przy której obstarują Rusini, pochodzi od słowa „Ukraina”, które jest nazwą polską i przez Polskę zdaje się ich oczywiście nadana. A jeśli nawet Ukraincy mają jakieś dokumenty, świadczące, że i oni tak siebie od wieków albo pierwsi nazywali, to jednak słowo „ukraina” było kiedyś we wszystkich językach słowiańskich rzeczownikiem pospolitym, oznaczającym skraj państwa, jego nadgraniczne obszary. W dawnej Rzeczypospolitej było kilka ukrain, i na sejmach mówiło się także o ukrainach zachodnich. Jeśli cały naród przyjął tę nazwę jako imię własne i jako wyraz swoich dążeń do niezawisłości i suwerenności państwowej, wynikło to głównie z konieczności zaznaczenia swej odrębności od Rosji, która naród ruski, po polsku rusiński, razem z jego nazwą, kulturą i dziejami w swój zaborczy organizm wcielił uświata. Nazw „Ukraina” i „ukraiński” Rosja też tylko carśka nigdy uznać nie chciała. Polsce zaś nazwy te powinny być w najwyższym stopniu sympatyczne. Bo wynosząc je do godności oficjalnej nazwy narodu i kraju, przyjęli Ukraincy miano, mówiące — może wbrew intencjom i w sposób niejako mistyczny — o ich bratności z Polską. I nawet gdy nazwa „Ukraincy” używana jest przez ludność ruską w Polsce żyjącą, — w czem wielu Polaków chce widzieć jedynie wyraz dążeń do separatystycznych, — razi to nikogo nie powinno, skoro nie razi nas gdy inne narody, w Polsce zamieszkale, po swojemu się także mianują.

Natomiast słowa „Ruś”, „ruski” i „rusiński”, przy których upierają się Polacy i którym chcą znaczenie ukraińskiej odrębności narodowej pomniejszyć, to są właśnie najstarsze nazwy tego narodu i w dodatku najczystsze, którymi on sam siebie przed wiekami mianował i którymi się pysznił. Wszak to właśnie suwerenni książęta haliцьcy i włodzimierscy, ongi panujący, na dzisiejszem Podolu i na Wołyniu, pisali się: „książę ruski”, a nie „ukraiński”.

W ustach tedy świadomych przeszłości żadna z tych nazw pomniejszająca ani uwalniająca dla żadnej strony być nie może. Żadna też, niestety, nie ułatwia rozwiązania dramatycznej kwestji bytu i stanowiska ludu tych ziem w odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej.

Zdobałoby ją rozwiązać coś z kategorii ducha i sentymentu, obcych szowinizmowi i politykom, a jednak mogących mieć znaczenie w jakiejś lepszej, rozumniejszej przyszłości.

Zabrzmii to nawnie i śmiesznie wobec ponurej grozy konfliktów społecznych i politycznych. A jednak ziemia ta i jej lud są jak przepiękna istota, o którą wiele było się poprzec wieki z żywiołową, nieścącą pożądlivością. Lecz serce jej nie będzie i los jej swoim uczyni ten tylko, co od niej wyjdzie i ten, co ku niej przyjdzie, męźnie bezkłamny — z ofiarną, szczodłą miłością.

Marja Dąbrowska.

PISARZE POLSCY O KWESTII ŻYDOWSKIEJ*)

Dyskusja na łamach „Wiadomości Literackich“

MANFRED KRIDL

Przypomnienie starych i prostych prawd

Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo, pomoc na drodze ku jego dobru wiecznemu i doczesnemu, równe we wszystkim (A. Mickiewicz, „Symbol polityczny Polski“, p. 10)

Wiem, że umieszczając jako motto głos Mickiewicza z r. 1848, narażam się z góry na uśmiech filitowania t. zw. ludzi trzeźwych oraz filitów politycznych, idących „z prądem czasu“. Uważam jednak, że w przykazaniu poety (pominawszy niektóre specyficzne jego poglądy: Izrael-brat starszy — dlatego że pierwszy był w przemierzu z Bogiem) skupił się i duch wieku XIX i dorobek kultury europejskiej i wreszcie najlepsze tradycje polskie. Chcę z tego punktu widzenia europejsko-polskiego oświecić niektóre zagadnienia kwestii żydowskiej i dodać może do dotychczasowej dyskusji kilka nowych uwag i doświadczeń.

ANTYSEMITYZM BRUTALNY I ANTYSEMITYZM „ETYCZNY“

Pierwsza z odmian antysemityzmu jest dostatecznie znana; wyraża się w bardzo prymitywnym „programie“ i w skrajnie barbarzyńskiej taktyce: wyrzucić Żydów z Polski, zając oczywiście ich miejsca w życiu gospodarczym, a „zachęcać“ ich do emigracji przez szczerze, lenie, poniewieranie, bicie i niszczenie ich dobytku. Że „program“ ten jest niewykonalny, a nawet gdyby można go było jakimś cudem wykonać, groziłoby to poważnymi komplikacjami gospodarczymi — o tem już pisało, nawet że strony prawicowej. Co zaś do taktyki, to nie tylko „masoneria“ i „żydo-komuna“ są potępia, ale oficjalnie również umiarkowana prasa prawicowa, rząd Rzeczypospolitej, przedstawiciele Obozu Zjednoczenia Narodowego — i oczywiście także t. zw. antysemita „etyczny“.

Jest to typ psychiczny, posiadający pewne specyficzne cechy: powierzchowność, brak gruntownego przemysłu i zdecydowanego stanowiska, „wychwalanie gromadzkiej głupoty“, „chowanie się w motłoch, jak w futro, przed zimnem ostrego męstwa, przed samotnym wystąpieniem“ (Żeromski), polowiczność, nieszczerłość, „mosty czułości nad puszkami rozpęta“, uleganie natrętom gromadnym, strach przed konsekwencjami raz przyjętych poglądów, stąd brak odwagi cywilnej i dojrzałość zamiast prostego i wyraźnego działania — słowem, brak kościła myślowego i moralnego, brak charakteru.

W sprawie nas tu obchodzącej cechy te występują wyraźnie w następujących faktach: antysemita „etyczny“ sam nie był Żydem ani nie rozbija sklepów żydowskich, ale rzadko kiedy zdobędzie się na ostre potępienie takich czynów, boi się opinii kumoszek i palkarzy, wie zawsze stara się znaleźć jakieś okoliczności łagodzące, jakieś usprawiedliwienia, boleje, rozkłada ręce, może nawet prawie morały, ale w rezultacie rozkłada ręce i biernie przypatruje się widowisku. Umie w przedziwny sposób łączyć kulturę osobistą i humanitaryzm wogóle z pogardą dla Żydów (szyszałem znanego humaniste, który ich określał jako „podły naród“), przywiązanie do wolności i demokracji — z uznawaniem wyjątkowych praw dla nich, zachwyt dla przodujących narodów europejskich (Anglia, Francja) — z poglądami, które dla każdego Anglika i Francuza są dowodem barbarzyństwa. Umie nawet być równocześnie gorącym katolikiem i zapalczywym antysemitą. Czyżby w myśl zasad wybitnego francuskiego pisarza katolickiego Maurrasa, że co innego jest katolicyzm a co innego „mdle chrześcijaństwo“, że obowiązujące są uchwały synodów kościelnych a nie to co „czterech Żydów napisało w ewangeljach“?

Z powyższego wynikałoby, że w gruncie rzeczy antysemita „kulturalny“ ulepiony jest z tej samej gliny żoźdżerzej co antysemita bestialski: tak samo nienawidzi Żydów (choć twierdzi, że ich tylko „nie lubi“), tak samo marzy o usunięciu ich z Polski (oczywiście dla ich własnego dobra i dla ułatwienia im zdobycia własnego państwa), tak samo uważa kwestię żydowską za centralną i najważniejszą zagadnienie polskie, a „rozwiązanie“ jej za remedium na wszystkie bolączki, tak samo znajduje się pod sugestią bardzo prymitywnych, wulgarnych, a bardzo niski poziom umysłowy obliczo-

nych haseł. Tem samem jest moralnie współodpowiedzialny za wszystko co się obecnie w Polsce dzieje, jest typem społecznie i narodowo może nawet szkodliwym niż palkarz i petardzista, bo co do tamtego, wiadomo przynajmniej, z kim się ma do czynienia, sprawa jest jasna i wyraźna, środki wytepienia proste, co więcej, tamten stawia kwestię nie tylko prośbie, ale i uczciwiej, bez deklamacji humanitarnych, bez podwójnej buchalterji moralnej i bez obfudy.

Mamy takich antysemitów „kulturalnych“ wszędzie wśród t. zw. inteligencji: wśród młodzieży akademickiej i profesorów, na wszystkich szczeblach administracji państwowej. Oni to, często nie zdając sobie z tego sprawy, stanowią tę urodzajną glebę, na której wykwitają kwiatki pogromowe rozmaitego kalibru, oni udzielają rozruchom antyżydowskim cichego, choć może nie zawsze uświadomionego poparcia, dzięki niemu uchodzą one tak często bezkarnie, oni są twórcami tej specjalnej atmosfery polskiej, w której oficjalnie niby wszystko jest w porządku, de facto zaś dzieje się rzeczy niegodne narodu kulturalnego.

ASYMILACJA

Żydzi się dotąd nie zasymilowali i nie zasymilują nigdy — oto rzekomo najbardziej nieodparty argument, jakim się szermuje. Logicznie nie wytrzymuje on żadnej krytyki. Że się nie zasymilowali (jako masa) dotychczas, z tego nie wynika bynajmniej, że asymilacja jest wogóle wykluczona. Mamy wszakże przykłady zupełnej asymilacji w Niemczech, Francji, Anglii. Ale nie potrzeba tak daleko szukać. Iluż mieliśmy i mamy u nas wybitnych uczonych, poetów, artystów, pracowników na wszelkich polach pochodzenia żydowskiego, którym polskość nie odmówi najcięższy nawet antysemita „etyczny“. Nawet Kołaczowski, pragnący przymusowo uszczęśliwić Żydów przez wyrzucenie ich z Polski, przynajmniej łaskawie istnienie „kilku cennych jednostek żydowskich“. To są fakty znane, i nie potrzeba cytować nazwisk. Jeżeli więc potrafia się asymilować (i to nie byle jak!) jednostki i — śmiało rzecz można — całe warstwy inteligencji żydowskiej, to dlaczego nie mogą się zasymilować masy drobniomszczaństwa i proletariatu żydowskiego? Niema „nieodpartej“ w narodowości żydowskiej nic takiego, co by temu stanowiło na przeszkodzie. Nie istnieje przecież podobno żadna różnica „rasowa“ pomiędzy Askenazym, Langem, Finklem, Natansonami i Kronenbergami, a jakimś Moszkiem lub Joskiem z Cielej Wólki. Dlaczego więc ten Mosiek lub Josiek nie mógł się stać równie „dobrym“, choć może mniej wybitnym Polakiem?

Rzecz oczywista, że na asymilację, podobnie jak na uświadomienie narodowe większych mas, potrzeba dłuższego czasu. Pomyślmy tylko, kiedy to uświadomili się narodowo chłop polski, choć jest on znacznie starszym autochtonem niż polski Żyd? A tutaj w celach demagogicznych albo z braku zastanowienia rozcinano się kwestję odrazu i bezapelacyjnie.

Żydzi polscy mieli już chyba czas, żeby się zasymilować — mógłby ktoś zauważyć. Powody, że tak się nie stało, są liczne i skomplikowane. Wchodzi tu w grę polityka państwa polskiego przed rozbiorem, polityka elementów nieszlacheckich, — dalej, po rozbiorach, specjalnie ciężkie położenie narodu, brak zainteresowania ze strony społeczeństwa polskiego (zajętego innymi zagadnieniami) współobywatelami żydowskimi, pozostawienie ich własnemu losowi, a stąd pogłębianie się różnic i obcości. To, że nie mieliśmy zupełnej wieku XIX, w którym kształtowały się nowoczesne społeczeństwa, odbiło się fatalnie również na naszych Żydach. Gdzieindziej szli oni z postępem i z rozwojem cywilizacji, różniczkowali się i asymilowali w społeczeństwach bardziej kulturalnych, u nas trwali, wraz z nami, w ciemności, upośledzeniu, ucisku, w zasklepieniu w sobie, lekceważeniu i pogardzie wszystkich i naszej własnej. Wszak dopiero druga połowa w. XIX przyniosła pod tym względem odmianę. Czyż można się dziwić, że się masowo nie asymilowali i asymilować nie mogli? Czyż raczej nie jest charakterystyczne i pocieszające, że w tych warunkach trudnych i niesprzyjających z każdym pokoleniem rosła liczba Żydów-Polaków?

Jakkolwiekby, faktem jest, że wraz z odzyskaniem niepodległości odziedziczyliśmy po naszych przodkach pewien rzeczywisty stan rzeczy, który musimy uznać — chcemy czy nie chcemy — i za który jesteśmy odpowiedzialni. Odpowiedzialność nasza bowiem dotyczy nie tylko teraźniejszości, ale rozciąga się również na przeszłość i przyszłość. Polska przedrozbiorowa zostawiła nam w spadku całe mnóstwo kwestii niezłatwionych, nie tylko kwestię żydowską. Dlatego tę jedną wysuwa się obecnie na czoło i głosi się hasła, że ona jedna da się złatwić natychmiast, odrazu, sposobem pogromowym czy administracyjnym, podczas gdy wszelkie inne sprawy wymagają dłuższego wysiłku, i to nie jednego pokolenia.

Ta odpowiedzialność historyczna — że nam stwierdzić, że Żydzi, od wieków

osiedli w Polsce, sprzągnięci z naszymi losami dziejowymi, żyją wśród nas na prawach autochtonów, i nikt nie może im tych praw zaprzeczać. Jak każdemu obywatelowi państwa tak i im musi być zostawiona swoboda decydowania o swoich losach i swojej przynależności narodowej. Jest wśród nich silna i wpływowa partja syjonistyczna, dążąca do stworzenia własnego państwa. Tym możemy tylko rzec: à la bonne heure! Są jednak niemięsilne grupy, które nie myślą o emigracji i pragną zostać w kraju. Tych nikomu nie wolno zmuszać do porzucania siedziby przodków. Żaden odpowiedzialny i kulturalny Polak prawa takiego nie może sobie usurpować, jak nie może wyrzekać się lekkiem sercem dopływu do kultury polskiej tych wszystkich, którzy dla tej kultury pracują i pracować pragną.

WALKA EKONOMICZNA I SAMOOBRONA KULTURALNA

Oto inne znowu fetyzysy, stawiane przed narodem i podawane do wierzenia: „Delikatny“ sposób sformułowania tych haseł wskazuje, że twórcami ich są znowu ci sami antysemita „etyczni“.

Jaka jest jednak różnica pomiędzy walką ekonomiczną a bojkotem? Logicznie walka jest pojęciem nadrzędnym i mieści w sobie pojęcie bojkotu. Jak można sobie wyobrazić walkę ekonomiczną z Żydami bez izolowania ich, niekupowania u nich, wypierania ich z zajmowanych placówek, czyli bez tego wszystkiego, co się ogólnie rozumie przez bojkot? Jest to więc tylko zastąpienie jednego słowa przez inne, żeby ładniej i kulturalniej wyglądało.

Pomiędzy stroną moralną i prawną sprawy (z jakiej racji równoprawni współobywatele, zajmujący się legalnie handlem, mają być bojkotowani?) — a stałymi na gruncie ekonomicznym. Otóż, jak wiadomo, istnieją pewne „prawa ekonomiczne“, a wśród nich i taki ekonomicznie uzasadniony zwyczaj, że ludzie kupują tam, gdzie mogą znaleźć towar tańszy (czy też lepszy), gdzie znajdują lepsze ułatwienia w nabywaniu i gdzie są lepiej obsłużeni. To jest jedyne i chyba słuszne kryterium ekonomiczne. Nie można go zastąpić kryterium patriotycznym i mówić: kupuj u chrześcijan, choćbyś miał dostać towar droższy (czy też gorszy) i choćby cię traktowali niegodnie. Jest rzeczą znaną, że Żydzi, dzięki odwiecznej tradycji, doświadczeniu, organizacji, są naogół lepszymi kupcami od chrześcijan; wie o tem każda gospodyni, że ten sam towar można często dostać znacznie taniej u Żydów. Nie jest to oczywiście żadna reguła, trzeba bowiem przynajmniej, że część kupiectwa chrześcijańskiego dociąga się powoli do tego poziomu, choć daleko u nas jeszcze do stosunków zachodnioeuropejskich.

Jakież z tego wniosek? Taki, że w społeczeństwie cywilizowanym, europejskim, nie może być mowy ani o bojkocie, ani o „walce“, lecz tylko o uczciwej konkurencji. Niech chrześcijanie produkują lepiej i sprzedają taniej, niech nauczą się zyskiwać klientów przez usłusność i grzeczność — a wówczas mogą osiągnąć swój cel. Innej drogi niema, i nie tu nie pomagają frazesy patriotyczne. Przecież handel i przemysł w rękach polskich, to jeszcze nie jest żaden zysk dla gospodarstwa narodowego, musi to być przede wszystkim handel i przemysł zorganizowany na wysokim poziomie. Przecież nie można twierdzić, że Polska będzie wielką i potężną wówczas, gdy szachraj i wyzyskiwacz żydowski będą zastąpieni przez szachrajów i wyzyskiwaczy chrześcijańskich. A niestety, często tak się zdarza, że chrześcijanie w handlu i w przemyśle przejmują tylko najgorsze zwycięstwa Żydów, nie przejmując ich zalet.

Argument samoobrony kulturalnej opiera się na założeniu, że w psychice żydowskiej są pierwiastki szkodliwe i niebezpieczne, przed którymi musimy się bronić. Jakże to są pierwiastki? Najczęściej słyszy się o kosmopolityzmie, radykalizmie, czysto spekulacyjnych umysłach (bez „uczucia“), zachłanności, wyłączonej, arogancji, pewności siebie, bezwzględności, egoizmu, fanatyzmu i t. p. Używając tych frazesów nie zdają sobie sprawy, że operują tylko osobistymi wrażeniami, nastrojami, co najwyżej — pewnymi przypuszczeniami czy hipotezami, uogólnieniami fałszywymi, bo opartymi wyłącznie na obserwacji jednostek. Toteż i powyższe charakterystyki Żydów mają taką samą wartość, jak powiedzonka, że Francuzi są żywi i lekko-myślni, Niemcy ciężcy, a Anglicy flegmatyczni. Jest więc niedorzecznością na podobnych opiniach budować swój stosunek do Żydów, a czemś znacznie gorszem opierać na nich politykę eksterminacyjną.

Na to odpowiadają różni ludzie: tych rzeczy nie można udowodnić, ale się je „czuje“, tak samo, jak na pierwszy rzut oka rozpoznaje się Żyda. Czuję się? Zalety od tego, kto, gdzie i kiedy. Czuję się tylko same wady a żadnych zalet? Już to samo padać w grubą wapielność to „czucie“. Ponadto nikt chyba nie zaprzeczy, że te same cechy, które wytyka się Żydom, znaleźć można w stanie kwitującym u stoprocentowych aryjczyków (o ile tacy istnieją). Że masa żydowska jest nam obca i wstrętna? Znowu zależy, jak daleko. Dla człowieka subtelniejszego każda gromada niekulturalna (a często

nawet i kulturalna) jest obca i wstrętna. Ileż to razy chwytam nas „szewska pasja“ wśród towarzystwa najbardziej dobrze wychowanego, wśród ludzi skądinąd sympatycznych i wartościowych! Weźmy nasze obchody, uroczystości, posiedzenia, zebrania, nawet „elity“ intelektualne. Ileż to powodów do niesmaku, goryczy, oburzenia!

Postulat obrony przed trucizną ducha żydowskiego może się opierać albo na przekonaniu, że jesteśmy tak słabi duchowo, iż sobie nie damy z nią rady, albo też, że jesteśmy duchowo samowystarczalni, tak silni, oryginalni i piękni, iż nam już znikąd pomocy ani dopływu sił nie potrzeba — musimy utrzymywać ducha narodowego w stanie czystym. Oba te poglądy są niesłuszne. Tamten jest oznaką małoduszności, ten — megalomanji. Kultura polska (jak zresztą i wszelka inna, ale w wyższym stopniu niż inne) jest rezultatem skrzyżowania się pierwiastków bardzo różnych pod względem „rasowym“ i narodowym. Nie trzeba chyba przypominać wielkiego, w niektórych dziedzinach decydującego, znaczenia w tej kulturze pierwiastków litewsko-białoruskich, jak również wybitnych wpływów Zachodu i Południa („pawiem narodów byłaś i papuga“). O „czystym“ duchu narodowym mogą więc mówić tylko ignoranci lub demagogi. Oślania swoje instynkty antysemita przestrojami o najniebezpieczniejszej rzekomo truciznie żydowskiej, mogą tylko ci, co nie widzą lub nie chcą widzieć, ile to własnych naszych, rodzimych, polskich trucizn mamy w sobie samych do wypilenia. Wskazywali i wytykali je nasi poeci, walczyli z niemi reformatorowie, działacze od wieku XVI aż do Piłsudskiego. Dzieje naszego odrodzonego państwa nie świadczy bynajmniej, aby to zatrucie narodowe w sposób wydatny się zmniejszało. Jest karygodna, zbrodnia ślepoty napędzić uszy narodu wrzaskiem o niebezpieczeństwie żydowskim, a przelicać owe storko bardziej groźne wewnętrzne duchowe niebezpieczeństwa polskie, głosić, że skoro tylko duch narodowy będzie mógł objawić się w stanie „czystym“, zająśnie wszystkimi barwami tęczy. Wiemy dobrze, że nie jest ten duch czysty ani w znaczeniu „rasowym“, ani moralnym, że potrzebuje długiego leczenia i intensywnych zabiegów wychowawczych. Rozwijając się, zaś może naprawdę, bogacić się i dążyć do pełni człowieczeństwa nie w izolacji od innych, w zasklepieniu się i megalomanji nacjonalistycznej, lecz właśnie wchłaniając w siebie (i przetwarzając) wszystko to co kultura europejska przynosi cennego. Tem samem nie może się też separować od „ducha żydowskiego“, odrzucać a limitować to wszystko, co sami przecież uznajemy za wartości i zalety Żydów. A że uznajemy, świadczą o tem najlepiej strach antysemitów przed nimi, celowe zresztą wyolbrzymianie ich siły, potęgi, znaczenia międzynarodowego, solidarności oraz niebezpieczeństwa dla Polski.

PATRIOTYZM LATWY I PATRIOTYZM TRUDNY

Związek antysemityzmu z patriotyzmem bardzo ułatwionym i uproszczonym jest widoczny. Cóż łatwiejszego bowiem niż iść owym pędem za pewnymi popularnymi w danej chwili hasłami czy prądami, uważać je za konieczne i nieuniknione, a więc (!) godzić się z nimi, przypisywać większości rację, utożsamiać z nią prawdę? Ludzie ci (osobiście niekiedy uczciwi i przyzwoici) nie pytają wcale o prawdę, sprawiedliwość, honor — mówią tylko (czasami nawet ze „smutkiem“), że taki już jest „duch czasu“ i trzeba mu się poddać. Nawet wówczas, gdy ten duch jest barbarzyński? Cóż to za nowa cnota umieć wyczuwać, odczuwać, rozumieć i usprawiedliwiać barbarzyństwo? Cóż to za patriotyzm, który polega na „wychwalaniu gromadzkiej głupoty“, na pochlebianiu niskim instynktom motłochu, na podnoszeniu ich do godności idei narodowej? Czy według innych kryteriów ocenia się człowieka wogóle, a według innych Polaka? „Každy nikczemnik, zbir, niedźnik, pochlebca... každy tchór“ — mówiąc słowami Żeromskiego — dlatego ma nam być „czciwym bratem, że nędzę swojej duszy w polskiej objawia mowie“? A Żyd, choćby jaśniał wszystkimi cnotami ewangelicznymi, eo ipso musi być naszym wrogiem? Czy miłość do swego narodu polega na znianiu się do najcienniejszych tego narodu elementów, czy na pracy podnoszenia ich do solidarności z tem co w narodzie było i jest najbardziej wartościowego?

Trudniejszy jest patriotyzm tych, co nie są ślepi i głusi, co ostro widzą wady i braki swego narodu, znają jego przeszłość, prace i trudy najwyższych w narodzie, mają skalę porównawczą przez znajomość kultury innych narodów. Ci są dzisiaj narażeni na ciężkie troski i przeżycia, na goręcy i palący wstyd, często na bolesne próby swego patriotyzmu, na znieszczenie i rozpacz. Bronić się muszą przeciwko temu wiarą że naród polski przetrwał już gorsze rzeczy, przetrwał więc i te, z pewnością krótkotrwałą, chorobę.

SYTUACJA NA UNIWERSYTETACH

Nie będę przypominał znanych faktów zaburzeń uniwersyteckich. Chcę tylko w

związku z niemi zwrócić uwagę na sprawy, które sobie może nie wszyscy dostatecznie jasno uświadamiają. Najważniejszą z nich, najważniejszym „dorobkiem“ ubiegłego roku akademickiego jest stająca przed uniwersytetami groźba, podważająca samą rację ich istnienia, groźba że przestaną one być siedliskiem wiedzy i pracy naukowej a staną się terenem rozgrywek rasistowsko-politycznych. To nie jest przesada! Bo proszę tylko zważyć: znaczna część młodzieży przychodziła na wykłady nie dlatego, aby słuchać i pracować, lecz aby siedzieć po prawej stronie w separacji od kolegów-Żydów. To jest największy cel młodzieży uniwersyteckiej!

Cel ten został świeżo osiągnięty przez zarządzenia „porządkowe“ (znowu obłudą) na niektórych uniwersytetach. Ale nie trzeba się ludzi, że się na tem skończy. Jest to pierwszy etap przemysłowej i konsekwentnej walki o „odżyzwienie“ uniwersytetów. Za tym etapem pójdą (i to niezaślado!) dalsze: „numerus clausus“ a potem „numerus nullus“. Już dziś zapowiadane są hasła: „Żydzi z uniwersytetów polskich precz!“ „Czy „trzeźwi politycy“ i kierownicy państwa zdają sobie z tego sprawę, że postulat ten dotyczy nie tylko studentów, ale i profesorów? W czasie słynnej blokady domu akademickiego w Wilnie wisiały na nim m. in. i takie napisy: „Precz z profesorami-Żydami!“

A więc sami Polacy „czystej krwi“ na uniwersytecie — sielanka: z szlachłą polską polski lud (co do owej krwi zresztą to, według ideologii naszych nacjonalistów, tylko krew ojca decyduje — matka może być Żydówką, byleby syn był endekiem, natomiast endeck a nawet wogóle Polak z ojca-Żyda jest niedopuszczalny). Sielanka ta może mieć oczywiście dalsze konsekwencje, i są już tego oznaki: totalizm. Nie tylko Polacy, ale Polacy jednakowo myślący i czujący, a więc: precz z młodzieżą bezpartyjną i lewicową, precz z profesorami, których się uważa za „masonów“, liberałów, wolnomyślicieli! A ponieważ młodzież narodowa jest równocześnie wysoce katolicka (choć głębsi katolicy mają co do tego grube wątpliwości), więc może także: precz z innymi wyznaniami chrześcijańskimi!

„Die Toten reiten schnell“ — mówi przysłowie niemieckie. Nakreślone więc powyżej perspektywy nie należą bynajmniej do dziedzin niemożliwości.

Możliwa jest zresztą i inna ewentualność: chwilowa, a może i chroniczna, stan przejściowy, niewyraźny, nieokreślony, w którym zapanuje wszechwładnie obłuda, w którym słowa i czyny pójdą każde swoim porządkiem, gdzie będzie się wygłaszało wzniosłe hasła „etyczne“ i „państwowe“, a równocześnie przemykało oczy na bezprawie, tolerowało anarchię, kokietowało nacjonalizm i antysemityzm.

POLITYKA WŁADZ I JEJ SKUTKI

Stan taki istnieje in potentia już obecnie — zarówno polityka ogólna jak i władz oświatowych i akademickich zdaje się iść po tej linii. Politykę tę cechuje połowiczność, kompromisowość, nieszczerłość, brak określonego, męskiego stanowiska, niedecydowanie i lęk przed wyolbrzymionem widmem nacjonalizmu. Na początku zaburzeń studenckich ogłasza się bardzo stanowczą entencją, grożącą nieomal Berezą, w czasie zaś największego rozpętania się awantur — milczy się, a niektórzy czynnik, obowiązane do przeciwdziałania, awantur tych wogóle nie dostrzegają. Minister oświecenia wygłasza w sejmie zdanie, że nie może być mowy o podziale na ławki chrześcijańskie i żydowskie, a w niespełna rok potem niektórzy rektorowie podział ten de facto przeprowadzają. Jest w tem wszystkim coś makabrycznego.

Stosunek nasz do młodzieży posiada akcenty niezdrowe i niemoralne. Mówi się dużo o tem, że trzeba ją traktować po ojcowsku i z wyrozumiałością dla burliwego wieku młodzieńczego. Jest to słuszne w zasadzie, ale wszakże i wyrozumiałość ma swoje granice, a stosunek ojcowski, to nie tylko pieczenie, ale i karcenie. Nikt nie występuje z oskarżeniem młodzieży akademickiej jako całości, ale przecież trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że są wśród tej młodzieży elementy, które zmarły wiceminister Ujejski nie ważył się nazwać publicznie zbrodnicami, elementy popierane bezpośrednio przez podobne sobie typy, pośrednio przez współwyznawców i sympatyków oraz większość młodzieży bierniej i apatycznej, która nie potrafi się ekscytować dość ostro przeciwstawić. Tej młodzieży, pragnącej się uczyć i zdawać egzaminy oraz nie liczącym stosunkowo jednostkom, predystynowanym do pracy naukowej, trzeba zapewnić ochronę przed terrorem zorganizowanych grup, którym nie chodzi o naukę, lecz o politykę.

Ziarniast, dalej, szermować samemu i pozwolić szermować innym najopaczniej pojętym terminem „autonomii uniwersyteckiej“ (zmieniającej się w rękach owych grup politycznych na prawo popełniania zbrodni na terenie uniwersyteckim), musimy zdać sobie sprawę z tego, że sama powaga moralna władz uniwersyteckich i środki, którym rozporządzają, nie wystarczą dziś do opanowania sytuacji. Elementy zbrodnicze i ich adherenci kpią sobie z tych władz, a ulekają się tylko si-

ły fizycznej, którą zastosować mogą władze bezpieczeństwa publicznego.

Oczywiście rzecz, że aby zdobyć się na postępowanie stanowcze i energiczne, trzeba umieć szczerze i głęboko uszanować inną tradycję uniwersytecką i wogóle wychowawczą, nigdy nie przestarzałą, a mianowicie, że wszyscy słuchacze, bez względu na narodowość i wyznanie, są równi pod względem praw i obowiązków, że nie może być słuchaczy pierwszej i drugiej klasy, tych lepszych, bliższych, pełnoprawnych, siedzących na prawo — i tych gorszych, pogardzanych i wyrzucanych na stronę lewą. Sprzeciwia się to elementarnej zasadzie pedagogicznej o równym traktowaniu wszystkich uczniów. Kto tego nie rozumie i nie stosuje z całym rygoryzmem w praktyce, kierując się względami „wyższej polityki“, ten, oczywiście, nie powinien być profesorem na uniwersytecie, zasługującym na to szacunkowe miano. Słysz się często zdanie, że represjami nie zdławi się żadnego ruchu politycznego. Jest to słuszne o tyle o ile się odnosi do działalności, stojącej na jakim takim poziomie kulturalnym. Z chwilą jednak, gdy jakiś „ruch“ zagraża porządkowi, zdrowiu i życiu obywateli oraz mienu publicznemu, represje są chyba konieczne, jeżeli nie ma zapanować anarchja. Przecież sprawcy rozruchów antysemitów po miastach są chwytni, sądzeni i karani. Dlaczego ich towarzysze uniwersyteccy mieliby ten sam proceder uprawiać bezkarnie?

ODWROTNA STRONA MEDALU

Wszystkie wywody powyższe nie są wcale — jakby się mogło z pozoru wydawać — propagandą filosemityzmu. Jakkolwiek ludzie krzywdzeni i poniewierani są zawsze godni specjalnej sympatii i współczucia (i ta postać „filosemityzmu“ jest zrozumiała), to jednak szczególne „ukochanie“ Żydów byłoby tak samo nieusprawiedliwione, jak jakiś filogermanizm, filoromanizm i t. p. Człowiek naprawdę kulturalny może wyznawać tylko filozofowieczeństwo, t. j. miłować u ludzi wszelkich ras i narodowości (nawet swego własnego narodu) te cechy, które są trwałymi i wartościowymi dorobkiem rozwoju duchowego i moralnego ludzkości. Stąd i Żydzi nie mogą sobie rościć pretensyj do jakiegosuprzywilejowanego stanowiska. A niebezpieczeństwo to im grozi, gdyby poddał się, jako całość, wpływom swoich nacjonalistów, nie różniących się jako typ zoospicychizny od nacjonalistów innych narodowości. Byliby wówczas bardzo podobni do naszych antysemitów. Przed tem należy przestrzec tych Żydów, którzy rzeczywiście pragną zasymilować się z kulturą polską i nie myślą o emigracji. Nie wolno im więc ani stać na stanowisku, że wszystko co żydowskie jest eo ipso lepsze i godne poparcia, ani popierać tylko „swoich“, ani organizować bojkotu firm chrześcijańskich, ani wpadać w histerję i obnosić swoje założe po całym świecie, ani obarczać całego narodu polskiego odpowiedzialnością za czyny pewnych partji politycznych. Jeżeli chcą być naprawdę Polakami, muszą pamiętać o tem, że naród polski jest starszy niż „endecja“, że będzie trwał dłużej od niej, że wytworzył w swoim rozwoju dziejowym trwałe wartości kulturalne, których nie zniszczy nie zdoła (nawet własni jego przestępcy synowie), że wreszcie chorować może nawet najzdrowszy organizm.

PERSPEKTYWY

Niema co ukrywać, że najbliższa przyszłość przedstawia się ponuro. Czy przedłuż się okres chwiejności i kompromisów, czy też doczekamy się dojdą do władzy wyraźnego nacjonalizmu — w każdym razie będą to czasy ciężkie, oznaczające cofnięcie się w postępie kulturalnym. Ale najbliższa przyszłość jest w stosunku do dotychczasowych i przyszłych dziejów narodu jedynie drobnym ułamkiem czasu. Ludzkość cała, Europa, a wraz z nią i Polska nie poto walczą przez wieki w imię najsłabszych i najniższych ideałów — aby stoczyć się z powrotem na długi w błoto barbarzyństwa. Wśród tych ideałów znajduje się kilka prostych i podstawowych prawd, jak wolność, równość, braterstwo, sprawiedliwość, honor. Wierność dla tych haseł musi obowiązywać jednostki i narody. Na nich oparte jest życie społeczno-polityczne pierwszych narodów Europy: Anglii i Francji. Polska, chcąc się utrzymać w świecie fizycznym i moralnym, musi iść tym samym torem, zwłaszcza, że może do podobnych tradycji w swoich dziejach nawiązać.

To są stwierdzenia, które do niedawna wydawały się truizmami i banałami. W dzisiejszych podłych czasach nabierają jednak nowego blasku i niezwykłej wiecznej prawdy. Musimy w jej zwycięstwo wierzyć, choćby wbrew nadziei. Na dziś zaś nie pozostaje nic innego jak ostra i bezwzględna walka, na wszelkich polach i stanowiskach, z chorobami antysemityzmu i nacjonalizmu, które są groźniejsze od „niebezpieczeństwa żydowskiego“, bo są nasze, własne, przez nas samych wypelniane i tuczone naszą ciemnotą, naszą lekkomyślnością i brakiem odpowiedzialności.

Manfred Kridl.

*) por. „Antysemityzm“ Aleksandra Świętochowskiego i „Być może to jest źródłem sporu“ Jerzego Hulewica w nr. 702, „Apel do serca i do rozumu“ K. W. Zawodzieńskiego w nr. 705, „Poza dyskusją“ Emilia Zegadłowicza w nr. 706, „W największym skrócie“ Ksawerego Pruszyńskiego w nr. 707, „Przyczyny antysemityzmu“ Andrzeja Stawara w nr. 708, „Na marginesie sprawy żydowskiej“ Pawła Hulki-Laskowskiego w nr. 711, „Antysemityzm — daltonizm państwowym“ Mieczysława Wardzińskiego w nr. 714, „Europejskie poczucie godności“ Henryka Dembińskiego w nr. 715, „Kwestja żydowskiej“ — niema! Antoniego Sobanowskiego w nr. 722 i „Szukam antysemityzmu“ Wandy Wasilewskiej w nr. 726 „Wiadomości Literackich“.

W najbliższych numerach „Wiadomości Literackich” i „Skamandra” ukażą się prace **Kazimierza Bleszyńskiego** „Krystalizacje czystej poetyckości”, **Aleksandra Brücknera** „Dwoje skrzywdzonych”, **Marji Dąbrowskiej** „Istotne przeznaczenie „Rozdroża”, **Henryka Dembińskiego** „Oświecony absolutyzm — zwierciadło współczesnego totalizmu”, **Włodzimierza Dzwonkowskiego** „Zdrada Debolego”, **Stefana Godlewskiego** „O kostiumie dworskim Królowej Korony Polskiej”, **Marcelego Handelsmana** „Wizerunek psychologiczny księcia Adama Czartoryskiego, **Pawła Hulki-Laskowskiego** „Perspektywy nacjonalizmu”, **Stanisława Kota** „Doktryna społeczna” (z cyklu „Bracia polscy”, **Marji Kunciewiczowej** „O Daszyńskim”, **Witolda Leonharda** „Europa lubi być porywana” (cykl rysunków), **Józefa Łobodowskiego** „Tragedia żydowska” (z cyklu „Pisarze polscy o kwestii żydowskiej”), **Ksawerego Pruszyńskiego** „Był to niegdyś kraj bogaty...” (z cyklu „Listy wołyńskie”), **J. M. Ry-tarda** „Tajna wieczerza” (fragment z powieści „Wierchowina”), **Juljana Tuwima** „Odpowiedź recenzentom”, **Melchjora Wańkowicza** „Krzywiec”, **Mieczysława Wardzińskiego** „Wartości użytkowe historii”, **K. W. Zawodzińskiego** „Pierwszy czar Conrada”.

Międzynarodowy salon fotografii

Międzynarodowy salon fotografii, odbywający się kolejno w różnych miastach polskich i obchodzący w tym roku dziesiąty jubileusz, jest ważnym czynnikiem zbliżenia między fotografią polską a zagraniczną, a każdemu miłośnikowi fotografii artystycznej daje możliwość zapoznania się z pierwszej ręki z bieżącą produkcją fotograficzną w niemal wszystkich krajach europejskich i w wielu pozaeuropejskich.

W salonie obecnym uczestniczą 23 kraje, wystawiając łącznie 562 prace (w tem 169 przypada na Polskę).

Trudno mi osądzić, do jakiego stop-

Z krajów obcych wyróżniają się zwłaszcza Węgry, Stany Zjednoczone i Niemcy. Artyści węgierscy celują niemal we wszystkich rodzajach: w zdjęciach pleinairowych, w akcie, w martwej naturze;



Kraysler (New York):
Odpoczynek

zarówno w motywach folklorystycznych jak w motywach ze świata techniki współczesnej. Lubują się w mocnych kontrastach światła i cieni, w intensywnym, jaskrawym oświetleniu słonecznym, w wielkich, silnie błyszczących odbiciach. Bardzo urozmaicona pod względem tematyki i ujęcia jest fotografia północno-

mentaryczna i przygodnie jest, niestety, reprezentowana Francja. Sowiety nie biorą udziału w wystawie.

Z salonem, wzorem lat ubiegłych, połączono pokazy zdjęć, dostarczonych przez dwie wielkie wytwórnie aparatów fotograficznych — „Leikę” i „Kodaka”. Wielokrotnie powiększenia, wykonane z drobnych zdjęć „Leiką”, przesuwają przed nami szereg wizji, nieraz niezwykle piękności, owadów, spoczywających na kwiatach, i ptaków, karmiących swe małe, śmiejących się twarzy, dziewcząt wiodących korowód na łące, ludzi na plaży, lodowców, części maszyn lub frag-



Ronay (Budapeszt):
Salome

mentów rzeźbionej w drzewie grupy figuralnej gotyckiego ołtarza. Firma „Kodak” wystawia m. in. znakomite zdjęcia röntgenowskie, fotomikrografje, zdjęcia astronomiczne i zdjęcia na wielką szybkość migawki, np. zdjęcia ptaka w locie, spadającej kropli mleka lub tworzącej się na powierzchni plynu bańki powietrznej, wykonane w ciągu jednej stutysięcznej sekundy. Godne uwagi są też zdjęcia lotnicze departamentu lotnictwa ministerstwa spraw wojskowych i wydziału aerofotogrametrycznego polskich linii lotniczych „Lot”.

Nasze uznanie dla osiągnięć rozmaitych krajów, a nawet zachwyt dla dokonania poszczególnych twórców, niekinie tu wobec podziwu dla owego cudownego, stworzonego wysiłkiem zbiorowym wielu pokoleń narzędzia sztuki i nauki, jakim jest fotografia współczesna, pracująca przy pomocy aparatów tak precyzyjnych i materiałów tak czułych. Ujmując w jedną lapidarną formułkę to co dała nam fotografia współczesna, możemy powiedzieć że obdarzyła nas ona nowym widzeniem świata.

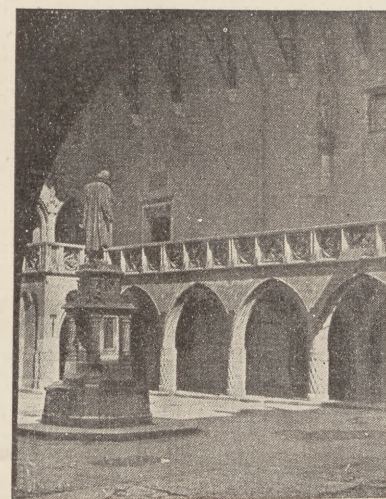
Mieczysław Wallis.



Müller (Wiedeń):
Stadion

nia styl utworów, znajdujących się na wystawie, jest reprezentacyjny dla stylu współczesnej fotografii artystycznej poza Polską. W porównaniu z wystawami dawniejszemi, uderza niemal zupełne zaniechanie deformacji i ostrych skrótów. Fotomontaże są nieliczne. Powrót do umiaru, do stateczności, reakcja przeciw ekscesom nowatorstwa. Pomysłowe zaaranżowanie motywu, umiejętne wyeksplorowanie efektów świetlnych, niekiedy pełen „esprit” wycinek lub niespodziany widok z góry, to najczęściej stosowane chwytły artystyczne. Pod względem technicznym panuje niemal niepodzielnie brom — postępowanie najprostsze, polegające na powiększeniach, wykonanych na światłoczułych papierach srebrnych. Bodaż tylko Austria i Polska posługują się nadto technikami bardziej skomplikowanymi, przedewszystkiem bromolem i przetłokiem.

Ekspozycje polskie są przeważnie na poziomie, nie wnosząc żadnych wartości odrębnych do fotografii współczesnej. Z czołowych fotografów polskich są tu reprezentowani: **Bulhak, Marjan Dederok, Neumann, Stalony-Dobrzański, Wiczorek.**



Cybinski (Katowice):
Dzielnica Biblioteki Jagiellońskiej

amerykańska; przeważa jednak realizm i ścisła rzeczowość. Niemcy wystąpili tym razem bardzo nielicznie, ale mają parę prac pierwszorzędnych. Wybornym animistą jest **Lange** z Berlina. **Angenendt** z Dortmundu celuje w motywach architektonicznych z małych miasteczek frankońskich. Anglia ma parę czarujących, mimo pewnej specyficznej „sweetness”, portretów i aktów. Frag-

NOWE FILMY

PEPE LE MOKO (Światowid)

Film Duviviera nie ukazuje nowej problematyki dramatu, jest raczej nowym sposobem widzenia dramatu. W zawiązku akcji leży jakaś sprawa niewiadoma, jakaś defraudacja, o której, jako o rzeczy nieważnej, reżyser nie mówi nam nie bliższego. Ważne jest to tylko że w Casbie, tubylczej dzielnicy Casablanki, kryje się człowiek, Europejczyk, który nie może pod grozą utraty wolności opuścić egzotycznego labiryntu. Dramat ściganego człowieka konkretyzuje się nie poprzez bieg akcji, nie poprzez ścieranie się z policją — konkretyzuje się poprzez miasto. Wynika z krętych ciasnych uliczek, zdarzenia rozpalają się na tarasach zalanych afrykańskim słońcem, czają się za nieoczekiwanymi załamaniem murów, potykają się o zdradliwie, nierówne kamienie bruku, giną za tajemnymi drzwiczkami, na krętych schodach, ciemnych korytarzach, objają się o obcy, leniwy, przyczajony tłum. Wyrasta z tego dramat obcości i dziwności świata, dramat opresji i tragicznego zgubienia w dziwacznych, popłatnych formach życia. I dramat niezwalczonoj tęsknoty Europejczyka za swą daleką, jedyną i w gruncie rzeczy tak małą ojczyzną. Nawet miłość w tym filmie nie jest potraktowana bezpośrednio i nie ma jak gdyby znaczenia merytorycznego. Jest miłością do francuskiej dziewczyny dalekiego, że jest z tamtego dalekiego i najbliższego świata, że jest ukojeniem tęsknoty za nim. Dlatego, że zapach jej przypomina — paryski „metro”. Pieśń miłosna dwojga kochanków jest dziwina i przejmująca: czy pamiętasz place de l'Opéra? czy pamiętasz boulevard des Malesherbes? Ona pamięta, i wtedy za algierskimi żaluzjami wybucha miłość namietna i niepowstrzymana, pełna paryskich obrazów. W tej tragedii obcości i tęsknoty wmontowane są epizody o niezwyklej ekspresji: rozszalały akordeon, który wytlukuje skoczna, rozwrzeszczana melodia podczas kiedy ktoś kona — lub symboliczny dwugłos skrzęcającego gramofonu i starej śpiewaczki, dwugłos życia, Paryża młodości i powolnego dogorywania we wrogiem, obcym świecie. Obrazy miasta są integralną częścią

dramatu. Wydaje się, że ekran jest za mały, aby objąć je wszystkie. Siłoczone, ciastne, przeludnione, pełne ostrych kontrastów i tajemniczych półmroków, przebiegają po niewielkim płótnie ekranu nie po to aby dać jasny i uporządkowany obraz miasta — są to tylko fragmenty, lecz fragmenty o wstrząsającej wymowie i dramatyczności. Nie było bodaj jeszcze filmu, któryby siłą samej plastyki wywoływał tak mocną i sugestywną wizję kolonialnej egzotyki i słoczonego afrykańskiego życia. Wobec siły obrazów maleją nawet same perypetje akcji i maleją dokonania aktorów, choć **Jean Gabin** gra bardzo dobrze.

SIÓDME NIEBO (Victoria)

Wznowienie dawnego dramatu, reżyserowanego ongi przez Franka Borzage, dokonało się teraz chyba tylko po to, aby Simone Simon mogła przeciwstawić swą grę francuską i finezyjną amerykańskiej rywalce Jeanet Gaynor, która wślawiła się tą rolą przed laty. Sam dramat — jedna z tych długich historii, które dla jednego supelka dramatycznego potrzebują nieskończonej ilości lat i skomplikowanych kolei losu — nie nadawał się bynajmniej do takiego wyróżnienia. Owa miłość na siódmym piętrze paryskiego domu na Montmartre, dająca niezmordowanie do happy endu poprzez wojnę światową, strzały, granaty i szpitale, pełna mętnego i naiwnego mistycyzmu, odata w dzisiejszej wersji z mgieł, które ongi otoczył ją Borzage, pokazana w jasnych i twardych konturach, traci wszelki sens.

Tembardziej że **Simone Simon** nie zwyciężyła bynajmniej Jeanet Gaynor. Jest przesłodzona, przeświecona aureolami refleksorów, przytem nie umie mówić po angielsku, bełkoce niewyraźnie i w zastępstwie zdrowych słów używa swych nieco chorobliwych wdzięków.

KIEDY JESTEŚ ZAKOCHANA (Europa)

Umysłowość amerykańska zawsze jednakoowo zdumiewa. Oto powstał film, którego tendencją — głoszoną przez

akcję i tekst dialogów — jest wyśmianie snobizmu. W tym celu bohaterem zrobiono sympatycznego malarza, odrzucającego dochody, sławę, reklamę, aby wzamian za to mieć wolność i swobodę wyrażania swej pogardy dla snobizmu. Piękna tendencja — nieprawdaż? Ale na jej tle wystraszającej wymowie i dramatyczności. Nie było bodaj jeszcze filmu, któryby siłą samej plastyki wywoływał tak mocną i sugestywną wizję kolonialnej egzotyki i słoczonego afrykańskiego życia. Wobec siły obrazów maleją nawet same perypetje akcji i maleją dokonania aktorów, choć **Jean Gabin** gra bardzo dobrze.

Grace Moore ma głos gładki, jedwabisty, o miękkiem, lirycznym brzmieniu, równie pozbawiony zmarszczek i wyrazu jak jej twarz porcelanowa i śliczna. Grace Moore ma tylko jeden moment dobry, kiedy śpiewa piosenkę „Minnie the Moocher”, wtedy znielacka ujawnia się jej niezgorszy temperament (kabaretowej śpiewaczki, i wtedy budzi się w widzu jedyny w ciągu dwóch godzin odruch uczuciowy — odrobinka żalu za jej skierowanym talentem.

SARATOGA (Bałtyk)

Ta przeciętna komedia amerykańska ma jedną niesamowitą „atrakcję” — że jest to ostatni film **Jean Harlow**. Komedjowa scena, w której Jean Harlow udaje że jest chora, w której kaszle, naciera się i wykonują szeregi innych zabiegów, nabiera smutnej i przykrej symboliczności. Poza tem film pełen jest powikłań zrozumielić wyłącznie dla amatorów wysiłków konych, emocji przeznaczonych dla namietnych graczy w totalizatora; dla zwykłych śmiertelników cały ten nastrój hazardu i koni ma jedną jedyną pociągającą scenę, mianowicie wyjątkowo dobre i dramatyczne zdjęcie wysiłków. Jean Harlow gra dobrze (de mortuis nil nisi bene), **Clark Gable** żyje, więc można o nim powiedzieć, że jest wyświechtany i szablony.

Stefania Zahorska.

Żółte zęby palaczy?

... Nie pojmuję, jak można nie palić! Niesmak, żółte zęby? — przecież istnieje pasta do zębów Chlorodont o wspaniałym mięsowym aromacie, która czyści i odświeża jamę ustną i zęby i usuwa nieładne zabarwienie zębów. Po każdym czyszczeniu zębów cieszą się, że mogą swobodnie zażywać rozkoszy palenia.

Chlorodont

CAMERA OBSCURA

O współpracę czytelników „Wiadomości Literackich” w „Camera obscura”
CO TYDZIEŃ ZŁ. 25.— NAGRODY

Zwracamy się niniejszem do czytelników „Wiadomości Literackich” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów, jak broszury, ulotki, czasopisma (w postaci całych numerów lub wycinków nie pozostawiających wątpliwości skąd pochodzą) z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem: **Warszawa, Królewska 13, dział „Camera obscura”**. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne**, wystarczy surowy materiał. Do przysyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskiwania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynajmniej **nagrodę w wysokości zł. 25.—**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

W ubiegłym tygodniu nagrodę **zł. 15.—** otrzymał **p. Franciszek Liszkowski** w Gdyni (ul. 10 Lutego 24, pokój 14) za książeczkę „O kościele i księżach” i **zł. 10.—** **p. Tadeusz Żelński** w Warszawie (Stadion Strzelnica, Nowoberestecka 10) za wycinek z „Gońca Warszawskiego”.

PRZYKŁAD

Z książeczki „O kościele i księżach” (wydawnictwo Braci Prasnów z Zakonu św. O. Franciszka, Chelm lubelski), rozdział p. t. „Przykłady i troski kościoła o biednych i opuszczonych”:

Wnoszą na ogromnej misie pieczonego prosiaka. Ruprecht wstaje i mówi: „Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy św. jednemu, że co ty mni-chu zrobisz temu prosiakowi, to ja tobie zrobię”. Zakonnik chwilę pomyślał, przeżegnał się, wetknął prosiakowi palec pod ogon, wygarnął kaszę, którą był prosiak nadziany, obliżał i mówi: dobre, bardzo dobre; wtyka drugi raz i to samo powtarza. Ruprecht skamieniał, opadł na ławę i kiedy zakonnik zabiera się, żeby trzeci raz to samo zrobić, Ruprecht wrzasnął nieludzkim głosem: „Dostęć!”. Wtedy zakonnik unosi habit i mówi: „a teraz na ciebie kolej, spiesz się, bo nadzienie gotowe”. Ruprecht siedział bez ruchu, a wszyscy myśleli, że paraliż go poraził, pobladł jak trup, a kiedy zakonnik go naglił, wyszeptał cichym głosem: „Ja ci tego nie zrobię, zwolnij mnie z przysięgi” (str. 13 — 14).

Książeczka powyższa zaopatrzona jest w „Nihil obstat. Censor librorum C. Tomczak” i w „Imprimatur. Lodzian 26. IV. 1930”.

IMITATOR

Z „Gońca Warszawskiego” (nr. 289):

Złodziej, zauważywszy przez „juda-sza” w drzwiach, że to policja, momentalnie wpadł do schowku, w którym miała być urządzona ubikacja, schwyłszy nowy sedes z nakryciem i nalożywszy go na głowę usiadł, imitując klozet.

DUECIK

Piskliwy Łaszowski drukuje w „Prosto z Mostu” (nr. nr. 46 — 47) artykuł, którego ustępy zaopatruje gloskami w nawiasach Karol Irzykowski. Gdy piskliwy Łaszowski pisze np. (cytuujemy nie dosłownie, oddając tylko zasadnicze myśli autora): „ple ple ple totalizm, ple ple żydów, ple ple ple żydostwo” — akademik literatury Irzykowski dodaje za razem komentarz, np. (cytuujemy dosłownie):

Tu już sam Łaszowski banalnie — ułatwia sobie. Co jest antypaństwowe, a co państwowe, co antynarodowe a co narodowe? Granice te są płynne.

Albo gdy piskliwy Łaszowski rzuci ciekawą myśl w rodzaju: „a ple ple ple totalnego ple ple żydowskiemu ple ple ple koncepcji” — Irzykowski dodaje od siebie:

Czekaj Fredziu, będziesz ty za to wszystko dyndał! Na razie Czapiński sprawi ci lanie.

Oto jeszcze parę ustępów tego dwugłosu (tym razem słowa obu stron w brzmieniu dosłownem).

Piskliwy mówi:

Państwo, które tworzymy, będzie organem świadomości narodu, wyniknie z nas wszystkich.

A Irzykowski na to:

Kto, kto? My? jakie my?

Przypomina to znaną anegdotę: — „Kto idzie?” — „Mi!” — „Jakich mi?” — „Żydów!” — „Ile?” — „Raz!”.

Piskliwy oświadcza:

Ponieść klęskę i pozwolić sobie na luksus defetyzmu może tylko naród niedołęgow.

A Irzykowski dodaje:

Albo naród siłaczy. Słowacki był defetystą.

Piskliwy krzyczy:

Kto widział tłumy manifestujące na cześć Mussoliniego lub Hitlera, musi przyznać, że: można ludzi zmusić do wielu różnych rzeczy, ale nie można wielotysięcznym rzeszom nakazać entuzjazmu.

A Irzykowski mówi:

„O szalony, gdzie on goni!” Młodzieńcze, zreflektuj się!

Ostatni komentarz Irzykowskiego brzmi:

A wszystko to są skutki zawiedzionej miłości. Gdy jedna kochanka ma za mało temperamentu... Ale on się jeszcze namysli.

Należy mieć nadzieję, że Irzykowski też...

PIASECKI O PAWLKOWSKIEJ

Wznowienie („Dowodu osobistego”) dało nam sposobność raz jeszcze stwierdzić majsterstwo sceniczne Jasnorzewskiej (zwłaszcza akt pierwszy!) i założyć, że ten świetny talent dramatopisarski, spętany sidłami środowiska literackiego, w którym się znalazł, nie próbuje wyższego lotu („Prosto z Mostu”, nr. 48).

Biedna, spętana Pawlikowska o niczem innem nie marzy, jak o wyrwaniu z „siedła środowiska” i o przefrunieniu do oenerowskiej wylegarni genjuszów p. Piaseckiego. Ale środowisko nie puszcza.

NAZWISKA

Feljeton tygodnika „Prosto z Mostu” (nr. 48) poświęcony jest sprawie „ławkowej”. Czytamy tam m. in.:

Każdy ma dobrych znajomych i przyjaciół Żydów i dla tych robi wyjątki. Żądając wyjazdu wszystkich chałaczarzy na Madagaskar czy gdzieindziej dodają: — Oprócz Parchowera, Kugelbucha i Sruła... To tacy przyzwoici i zasymilowani Żydzi.

Nazwiska Silberfeld feljetonista nie wymienia. Bo taktowny. Nie tak jak jego redaktor...

SREDNIO

Stanisław Piasecki w recenzji ze sztuki „Skandal w rodzinie Kinga” („Prosto z Mostu”, nr. 38):

nie ma bowiem chyba potrzeby opowiadać treści krotoczwili, polegającej na przebieganiu się dam w kucharki i kucharek w damy.

Dobrze napisane, ale niezupełnie. Powiedzmy: średnio.

CEREMONJE

Z „Kurjera Warszawskiego” (nr. 250):

Pod wpływem wzburzenia tymi zajściami Jan Antczak, robotnik, osobnik bardzo wrażliwy, rozpoczął walkę z żydami, przyczem w bezceremonjalny sposób dwóch Żydów zarżnął nożem, a dwóch mocno poranił.

Lepiej takie rzeczy robić z pewnemi ceremonjami...

DZIWNIE OBYCZAJE AMERYKANSKICH FOTOGRAFÓW

„Chwila” (nr. 6652) w artykule „Ford zdwoił czujność”:

Dzielnicy reporterzy, z narażeniem członków, naciskali aparaty skierowane na krwawe widowisko.

Dlaczego nie posługiwali się rękami?

KRZEWIE NIE TRADU

„Antena” (nr. 35) o odpowiedziach na konkurs letni Polskiego Radja:

Nie brak odpowiedzi ciekawych, dowcipnych, lub artystycznie opracowanych. Oto kilka z nich. Pan kapral Czajka z Krakowa nadesłał taki oto wierszyk:

„Czapie ułan, czapie, Po błocie na szkapie. A za dobre piosnek rozwiązanie! Napewno w nagrodę auto dostanie!”

Jak widzimy, odpowiedź ta jest istotnie „ciekawa, dowcipna i artystycznie opracowana”.

Dowcipna p. Korasiewicz z Tarnogóry nadsyła trochę zawiłe rozwiązanie: „Żeby nikomu krzywdy nie było Rozwiążę Konkurs nieco zawiło”.

Drukując i chwalec za rymotwory, „Antena”, oficjalny organ Polskiego Radja, krzawi trąd grafomanji i najgorszego smaku literackiego, co bynajmniej nie jest zadaniem tej instytucji.

STYL

Z powieści wyróżnionej na konkursie „I. K. C.” (nr. 216) „Człowiek ni stąd ni zowąd”:

Spieła złość na agraifkę i uśmiechała się. Była jednak blada jak niedopieczony omlet.

Z ilu jay?

